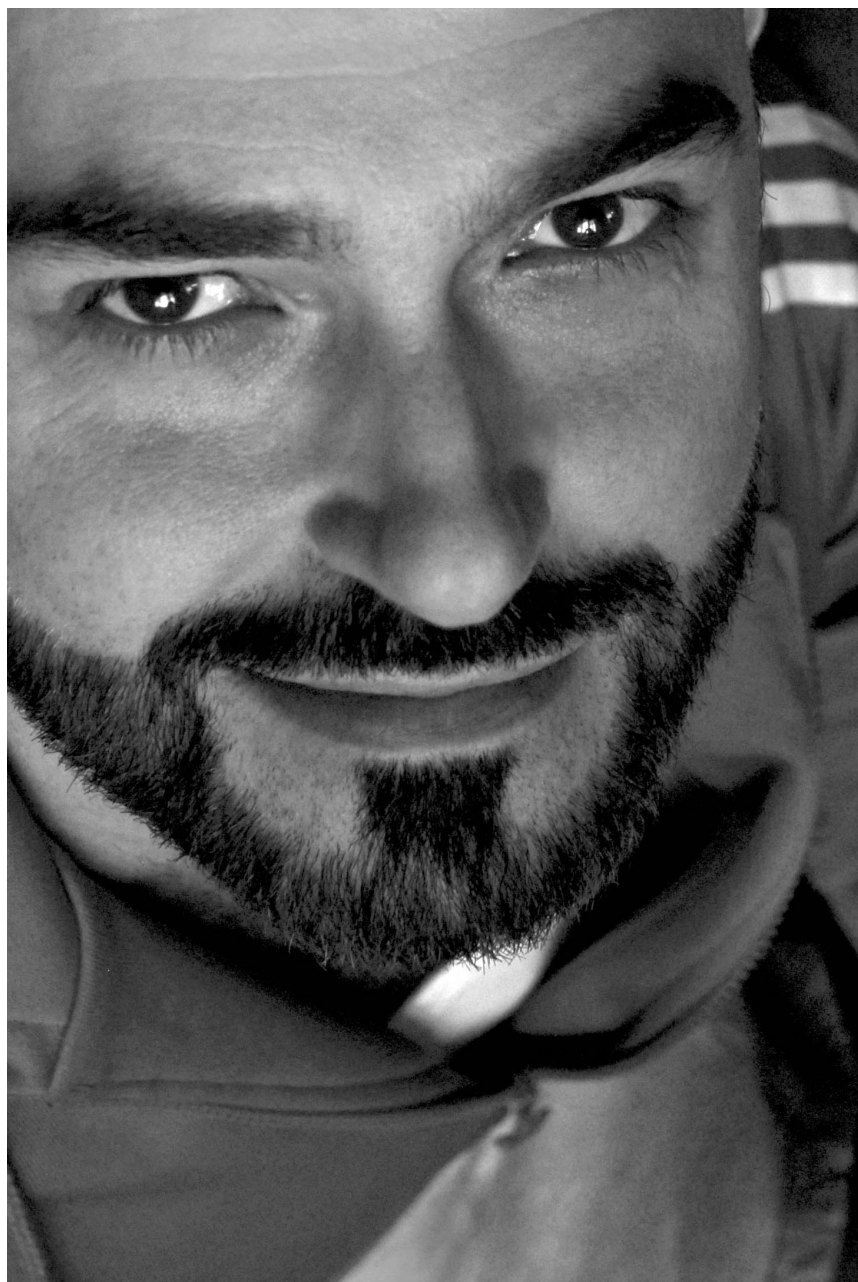


BIERKI



Marcin Szczygielski

Pisarz, dziennikarz i grafik. Debiutował bestsellerową powieścią *PL-BOY*, potem ukazały się: *Wiosna PL-BOYa*, *Nasturcje i ćwoki*, *Farfocle namiętności*.

2007 r. otworzył nowy rozdział w twórczości Szczygielskiego – ukazał się *Berek*, historia geja i przedstawicielki moherowych beretów, których pozornie nie łączy nic poza wzajemną nienawiścią. Książka szybko stała się bestsellerem, a autorska adaptacja teatralna wyreżyserowana przez Andrzeja Rozhina z Ewą Kasprzyk i Pawłem Małaszyńskim w rolach głównych od kilku lat przyciąga tłumy widzów do warszawskiego teatru Kwadrat. W lutym 2010 r. w warszawskim teatrze Komedia Tomasz Dutkiewicz wyreżyserował kolejną sztukę pisarza – *Wydmuszkę* – z Anną Guzik i Joanną Liszowską w obsadzie. Jesienią 2011 r. w tym samym teatrze odbędzie się premiera sztuki Szczygielskiego „*Furie*” z Teresą Lipowską w roli głównej.

Wiosną 2010 r. ukazały się *Bierki*, kolejna część cyklu *Kroniki nierówności*, zapoczątkowanego przez *Berka*. Również ta powieść trafiła na listy bestsellerów, a w rankingach portali gejowskich została uznana za książkę roku.

Odrębnym rozdziałem literackiej aktywności Szczygielskiego są książki dla dzieci i młodzieży. Pierwszą z nich była *Omega* – powieść o przygodach dwunastoletniej fanki gier komputerowych, dla której rzeczywistość w niebezpieczny sposób zaczyna mieszać się ze światem wirtualnym. Książka, zilustrowana przez Bartka Arobała, w 2010 r. trafiła na Listę Skarbów Muzeum Literatury Dziecięcej i została wyróżniona w konkursie im. Hanny Skrobiszewskiej oraz w konkursie Najpiękniejsze Książki Roku organizowanym przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek. Rok później otrzymała nagrodę „Książka Roku 2010” Polskiej Sekcji IBBY.

Kolejną powieść dla młodzieży, *Czarny Młyn*, opowiadającą o dzieciach z popegerowskiej wioski, które muszą zmierzyć się z bezosobowym złem czyhającym w ruinach pobliskiego kombinatu, Marcin Szczygielski napisał na Konkurs Literacki im. Astrid Lindgren organizowany w ramach akcji Cała Polska Czyta Dzieciom. Jury uznało *Czarny Młyn* za najlepszą spośród wszystkich 580 nadesłanych prac, przyznając mu Grand Prix i statuetkę Pippi Langstrumpf, a także I nagrodę w kategorii powieści dla dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat.

Trzecią książką autora skierowaną do młodszych nastolatków jest powieść „*Za niebieskimi drzwiami*”, która wiosną 2011 roku została nominowana – zarówno przez jury dziecięce, jak i profesjonalne – do Nagrody DONGA, kontynuatorki wieloletniej tradycji konkursu „Dziecięcy Bestseller Roku”.

Książki tego autora:

- **PL-BOY** (2003)
- **Wiosna PL-BOYa** (2004)
- **Kuchnia na ciężkie czasy** (2004)
- **Nasturcje i ćwoki** (2005)
- **Farfocle namiętności** (2006)
 - **Berek** (2007)
- **Berek+** (III wydanie powieści poszerzone o tekst sztuki teatralnej
Berek, czyli upiór w moherze, 2008)
 - **Omega** (2009)
- **Les Farfocles** (II wydanie *Nasturcji i ćwoków* oraz *Farfocli namiętności*
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
 - **PL-BOY²** (II wydanie *PL-BOYa* oraz *Wiosny PL-BOYa*
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
 - **Bierki** (2010)
 - **Za niebieskimi drzwiami** (2010)
 - **Czarny Młyn** (2011)

Sztuki teatralne:

- **Berek, czyli upiór w moherze** (2008)
 - **Wydmuszka** (2009)
 - **Furie** (2010)
- **Lody** musical (muz. Marcin Nierubiec) (2011)



OFICyna
Wydawnicza
AS

marcin szczygielski

KRONIKI NIERÓWNOŚCI VOL.II

BIERKI



warszawa 2011

Projekt okładki, stron tytułowych i ilustracje
Marcin Szczygielski

Redakcja
Anna Nastulanka

© Copyright by Marcin Szczygielski, 2007
© Copyright by Oficyna Wydawnicza AS, 2011
© Copyright by Instytut Wydawniczy Latarnik, 2011
Zdjęcie autora © Oficyna Wydawnicza AS
Zdjęcia na okładce i stronie tytułowej © Oficyna Wydawnicza AS
Pozował Dezydery Kowalkowski



Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00/11, fax 22 721 30 01
zamówienia internetowe: 22 721 70 07 lub 09
www.olesiejuk.pl
www.oramus.pl

Projekt typograficzny i skład komputerowy
Oficyna Wydawnicza AS

ISBN 978-83-60000-76-2

INSTYTUT WYDAWNICZY LATARNIK

IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO

Warszawa, ul. Cypryjska 89

tel./fax 22 614 28 34

e-mail: latarnik@latarnik.com.pl

sklep@latarnik.com.pl

Marketing i promocja

Bartosz Dworzyński, dworzynski@latarnik.com.pl

Urszula Hollanek, hollanek@latarnik.com.pl

Zapraszamy do księgarni internetowej

www.latarnik.com.pl

oraz na nasz profil na portalu Facebook

www.facebook.com/iwlatarnik

Warszawa 2011

Wydanie II poprawione

**Dla Edyty Olszówki,
dzięki której
powstała ta książka**

Przedmowa

Przez długi czas sądziłem, że Berek nie będzie miał kontynuacji. Wydawało mi się, że zawarłem w nim wszystko, co najistotniejsze w życiu bohaterów. Trwałem w tym przekonaniu aż do pewnego zimowego wieczoru, kiedy na popremierowym bankiecie w teatrze Komedia podeszła do mnie Edyta Olszówka i zapytała, czy nie napisałbym dla niej monodramu. Oczy mi się zaświeciły, bo pomysł na postać niemal natychmiast pojawił się w mojej głowie. Zacząłem pisać historię Wekiery, nauczycielki historii w warszawskim liceum. Twardej, niemal wrednej baby, niespodziewanie odkrywającej w sobie empatię i umiejętność rozumienia swoich — lekceważonych wcześniej — uczniów. Wekiera i jej świat zaczęły mi się błyskawicznie rozrastać, aż pewnego dnia uznałem, iż moja bohaterka powinna dostać więcej niż godzinny spektakl teatralny. Zapytałem Edytę, czy nie będzie miała nic przeciw temu, abyśmy monodram odłożyli na później, a tymczasem „jej” bohaterka stanie się jedną z głównych postaci nowej powieści. Przykładała temu pomysłowi.

Pisząc, uświadomiłem sobie bowiem, że nadarza mi się sposobność nawiązania do świata *Berka* i pokazania jeszcze jednego aspektu gejowskiego życia. Zwłaszcza że — gdy sam dojrzewałem i dorastałem — brakowało mi książki, w której ktoś przedstawiłby wpisany w polskie realia proces wchodzenia w dorosłe życie nastoletniego geja. Opowieści o tym, co się wtedy dzieje i w takim chłopaku, i w jego otoczeniu; bez nadmiernego dramatyzmu i rozdzierania szat. Do Wekiery dołączył więc jej uczeń Paweł — jeszcze niedojrzały, trochę zbyt emocjonalny i wrażliwy chłopak — który doświadcza swojej gejowskiej inicjacji, dokonuje *comming outu* i po raz pierwszy w życiu się zakochuje.

W ten sposób narodził się cykl, który nazwałem *Kronikami nierówności*. *Bierki* nie są bowiem kontynuacją *Berka*, lecz jego dopełnieniem. Współczesną komedią dell'arte — przewrotną żonglerką stereotypami, kliszami i archetypami, której celem jest pokazanie świata gejów jako części wspólnej rzeczywistości, kształtowanej przez nich na równi z heteroseksualną większością. Podobnie jak w komedii dell'arte, w obu moich powieściach bohaterowie noszą maski, które zmieniają się wraz z rozwojem wydarzeń; powtarzają się też w nich pewne typy ludzkie. Dlatego w *Bierkach* zachowałem większość imion i nazwisk z poprzedniej powieści. Jest więc Kolombina i Kolombin, czyli samotna, niekochana, nieco zgorzkniała Anna Lewandowska oraz spragniony miłości młody Paweł Sieniawski. Wyśniony przez Pawła księżę na białym koniu, czyli Wojtek, a także perfidny, niebezpieczny i zły Scapino — Łukasz. Dołączyli do nich nieszczęśliwie zakochany, trochę śmieszny, a trochę tragiczny Arlekin, czyli Krzysztof, i złośliwy, obleśny Brighella — Marek...

Są też ich marzenia i emocje — te najprostsze, podstawowe — które dotyczą nas wszystkich, bez względu na pochodzenie,

pozycję społeczną, wykształcenie i orientację seksualną. Marzenia o tym, że spotkamy kiedyś tę jedyną bądź tego jedyne-
go, że połączy nas prawdziwa miłość, że nasze cierpienie zosta-
ną wynagrodzone, wrogowie ukarani, błędy naprawione, a im
trudniejsza droga, tym piękniejsze i szczęśliwsze będzie jej za-
kończenie.

Do *Bierek* dołożyłem jeszcze jeden wątek — jasne, szczere
i pozbawione hipokryzji mówienie o seksie. Dlaczego? Bo to
sfera życia nieustannie obecna w myślach, a rzadko w sło-
wach; główne źródło nierówności i dyskryminacji, choć tak
naprawdę jak mało co stawia nas wszystkich na równi.

Marcin Szczygielski

W

Wtorek

Początek października

I

— No co, Sieniawski? Powiesz mi coś, czy jak? — odzywa się profesor Kucharczyk, nie odrywając oczu od dziennika. — Masz cztery nieusprawiedliwione nieobecności na lekcjach. I co my z tym zrobimy?

— Przyniosę zwolnienie — bąkam pod nosem. — W przyszłym tygodniu.

— Ta? Takie jak ostatnio? — Kucharczyk odchyła się na krzesło, zakłada ręce za głowę i spogląda na sufit.

Stoję przed jego biurkiem i staram się mu nie przyglądać. Ma na sobie klasyczny biały tank z wąskimi ramiączkami i szerokim wycięciem pod szyją. Kiedy unosi ręce, widzę dwie kępki ciemnych włosów pod pachami. Dolna krawędź koszulki podjeżdża, odsłaniając ciemny pasek skóry brzucha nad gumką czerwonych sportowych spodenek. Gabinet Kucharczyka przy sali gimnastycznej nie jest duży, powietrze

przesiało zapachem potu nauczyciela. Zapachem testosteronu. Nerwowo oblizuję suche wargi i przełykam ślinę, wbijając oczy w podłogę i z całej siły usiłując zapanować nad zbliżającą się erekcją.

— No co? Pytam się, czy takie samo zwolnienie jak ostatnio?

Zwolnienie z zajęć wuefu, które przyniosłem w marcu, podrobiłem. Ściągnąłem z netu blankiet recepty lekarskiej i nałożyłem na niego fałszywą pieczętkę w *Illustratorze*, a potem na wydruku odręcznie napisałem: „Paweł Sieniawski zwolniony z zajęć wychowania fizycznego do końca semestru”. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie mu się chciało sprawdzać dane lekarki! Całe szczęście, że nie wezwał matki i skończyło się tylko obniżeniem stopnia ze sprawowania.

Kucharczyk odsuwa się nagle razem z krzesłem i wstaje. Obchodzi biurko i siada na brzegu blatu, tuż przede mną. Wyciąga przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach. Wciąż wpatruję się w podłogę — pojawiają się w centrum mojego pola widzenia. *Adidasy* z czerwonymi paskami po bokach, nad nimi krótkie, białe skarpetki, a powyżej owłosione łydki. Skóra jest smagła, w kontraście z białymi skarpetkami wydaje się jeszcze ciemniejsza. Wbrew sobie zerkam wyżej, na jego uda. Nogawki krótkich, czerwonych spodenek kończą się nad nimi. Zatrzymuję spojrzenie na mocno wypchanym kroczu nauczyciela i błyskawicznie odwracam oczy, ale oczywiście jest już za późno — zasycha mi w gardle i czuję, jak mój kutas błyskawicznie pęcznieje.

— Oj, Sieniawski, Sieniawski — mówi profesor Kucharczyk.
— Znam ja takich, co nie lubią wuefu. A ty nie lubisz wuefu, co?

Nie wiem, co powiedzieć. Kiwam lekko głową i w panice usiłuję zapanować nad wzwodem. Mam na sobie dopasowane, czarne spodnie, a pod spodem bokserki, mój fiolet zaczyna się coraz wyraźniej odznaczać.

— Masz właściwie same dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Z polskiego jesteś najlepszy w klasie, z historii też. W kółku dramatycznym się udzielasz. A z wuefu mierny i same nieobecności, chociaż kulawy nie jesteś, chorowity też raczej nie i ogólnie rozwijasz się prawidłowo, wás ci się sypie pomału. Mam na ciebie oko, od dawna ci się przyglądam. Czyli wuefu nie lubisz. A co ty lubisz, Sieniawski? — głos nauczyciela staje się niższy i mniej groźny. — Powiedz ty mi, co ty właściwie lubisz?

Podnoszę głowę i czuję, jak moją twarz zalewa rumieniec. Unosząc ironicznie brwi, Kucharczyk przygląda mi się z lekkim półuśmiechem.

— Ja... — zaczynam. — Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz. A widzisz, Sieniawski, wuef może być całkiem przyjemny...

— Ja...

— Nie lubisz ty czasem przyglądać się, jak twoi koledzy z klasy przebierają się przed zajęciami? Kiedy zdejmują spodnie, zakładają dresy? Kiedy później, po zajęciach, zdejmują przepocone koszulki i idą pod prysznic?

Wypuszczam głośno powietrze, czuję, że kręci mi się w głowie i mięknią mi kolana.

— Ja nie... Nie...

Zorientował się! Wie! Już po mnie... Serce wali mi jak młotem, ale co dziwne, erekcja wcale nie znika. Wręcz przeciwnie, mój naprężony kutas napiera na cienki materiał bokserek, czuję, jak wymyka się z lewej nogawki i rozpycha spodnie. Robi mi się gorąco.

— Oj, Sieniawski, Sieniawski — powtarza profesor Kucharczyk, ale znacznie bardziej miękkim i łagodnym tonem.

Nagle unosi lekko jedną nogę, czubkiem adidasa zahacza o piętę drugiego i zsuwa go ze stopy. Kilkakrotnie zgina palce,

słyszę lekki trzask stawów. Po chwili unosi nogę wyżej, opiera stopę nad kolanem mojej lewej nogi i wolniutko przesuwają ją w górę. Oniemiały otwieram usta, brzuch zwija mi się w kulkę. Po sekundzie z głośnym westchnieniem wciągam powietrze, chwiejąc się lekko. Jego stopa pełnie po moim udzie, dociera do kutasa, który stoi mi tak mocno, że niemal boli, uwięziony w nogawce bokserów i skierowany w dół.

— Ale... co pan, co pan? — odzywam się piskliwie, stoję jak sparaliżowany.

— No — mruczy cicho Kucharczyk. — I co my tu mamy?

Opiera palce na moim kutasie i przyciska go lekko — raz, drugi, trzeci — a potem przesuwają po moim podbrzuszu całą stopę. Mój brzuch zaciska się w nagłym spazmie, podbrzusze pulsuje. Niemal natychmiast zginam się wpół. Pojękuję cieniutko, idiotycznie, biodra w niekontrolowanym ruchu frykcyjnym wysuwają mi się do przodu, cofają, wysuwają i spuszcza mi się w nogawkę. Moje jaja kurczą się rytmicznie i wyrzucają porcje nasienia — raz, drugi, trzeci. Jęczę znowu i czuję szybko powiększającą się plamę wilgoci na udzie. Profesor Kucharczyk przyciska mnie jeszcze raz stopą i opuszcza nogę. Chwieję się, oddychając głośno, zaciskam powieki i czuję, jak wypływają spod nich łzy. Spoglądam na niego, wypuszczając powietrze przez otwarte usta. Przygląda mi się z krzywym uśmiechem, spode łba. Kładzie dłoń na swoim kroczu, masując je delikatnie.

— No i jak, Sieniawski? — pyta cicho ochrypłym głosem.
— Chyba polubisz ty wuef, co? Widzę cię tu na następnych zajęciach. Zmykaj teraz, jestem zajęty.

To był mój pierwszy raz.

II

— To ostatni raz! — mówię, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. — Ostatni! Już nigdy więcej. Nigdy! Słyszysz?

Gablota trzeszczy ostrzegawczo pod moimi pośladkami, gdy Kucharczyk wbija się we mnie jednym mocnym pchnięciem, aż do nasady. Nie jestem jeszcze gotowa, więc krzyczę cicho i wbijam mu paznokcie w kark.

— Au! — syczy. — Anka! Ostrożniej, bo mi narobisz śladów.

Wysuwa się ze mnie prawie na całą długość i wraca, znowu dopychając członek aż do końca, a potem zaczyna poruszać się rytmicznie. Czuję go w sobie głęboko, po chwili robię się tak wilgotna, że każdemu jego ruchowi towarzyszy głośnie mlaśnięcie. Wsuwa dłoń pod moją bluzkę, pod stanik i zaciska palce na piersi, wykręca brodawkę. Tłumię krzyk ze wszystkich sił, odchylam głowę i widzę sztandar szkoły zawieszony nade mną na ścianie izby pamięci. Złote frędzle drżą, dostrzegam delikatną pajęczynę rozpiętą między grotem wieńczącym drag, do którego przypięta jest tkanina. Marek przyspiesza, porusza się we mnie jak taran. Taran, element wyposażenia obłędniczego, służący do wyważania murów i bram, używany w starożytności i średniowieczu. Jeszcze nie robiłam w tym roku pierwszym klasom zadania domowego z broni średniowiecznej i sposobów zdobywania fortec, to zwykle interesuje tych głabów.

— Ooooooch! — krzyczę wbrew sobie, bo Kucharczyk nagle wyciąga ze mnie swój członek, przesuwając żołądź po wargach sromowych, po lechtaczce i wbija go znowu.

Podbrzusze wypełnia mi się gorącem, żołądek kurczy się, mięśnie napinają i nagle zalewa mnie fala orgazmu. Prostuję nogi oparte o ramiona mężczyzny, gablota przesuwając się pod moją z głośnym hurgotem.

— Czekaj — Kucharczyk dyszy mi w twarz — czekaj na mnie... Już... Już!

Zgina się nade mną, dobija do samego końca i pompuje we mnie nasienie, drżąc i pojękując. Czuję pulsowanie jego

członka głęboko pod pępkiem. Rzeczywiście już. Kucharczyk wypuszcza głośno powietrze i wychodzi ze mnie. Staram się nie patrzeć w dół na jego penis. Nie wiem, dlaczego jego widok mnie peszy i zawstydza — szczególnie zaraz po wszystkim, kiedy wciąż nabrzmiały, ale już nie sztywny, zwisa między udami Marka niczym czerwona, gumowa pałka. Lubię go czuć, nie lubię widzieć. Opuszczam nogi, zsuwam się z gąbłoty i poprawiam spódnice. Czuję strużkę nasienia wypływającą z mojej pochwy. Krople wilgoci pełzną w dół po moim udzie. Nie wiem, co z tym zrobić. Nie wytrę się spódnicą, materiał jest za cienki, będzie plama. Schylam się po majtki leżące na podłodze obok gąbłoty. Sięgam pod spódnice, ocieram nimi skórę, a potem zwijam je w kłębek i chowam do torebki. Przez tego kretyna muszę iść na lekcję bez majtek!

— Pękła — odzywa się Kucharczyk, podciągając spodnie od dresu.

— Co pękło? — pytam złym głosem i z satysfakcją zauważam, że na granatowym drelichu pojawia mu się w kroczu ciemna plama.

— Szyba — wysuwa brodę, wskazując gąbłotę.

Rzeczywiście. Przez środkową kwadratową szybę biegnie cieniutka srebrna nitka.

— Cholera jasna — mówię. — I co teraz będzie?

— A co ma być? Powiesz, żeby Władzio wymienił. Fajnie było czy jak?

Podchodzi do mnie, ale odwracam się na pięcie, plecami do niego.

— Było beznadziejnie — kłamię. — Idź stąd.

— Beznadziejnie, mówisz — mruczy i gryzie mnie delikatnie w kark.

Uchylam się z gniewnym pomrukiem, ale czuję, że sutki twardnieją mi natychmiast. Co ten facet ma w sobie? Kurdupeł

taki, no może i nawet przystojny, ale wuefista, na boga! Jak ja się w to wplątałam?

— Beznadziejnie — powtarzam.

— Aż szyba pękła.

— Marek, idź, bo zaraz będzie dzwonek! Nie możemy stąd wyjść razem.

— W czwartek?

— Nie ma mowy! — kręcę głową. — Nigdy więcej! To był ostatni raz.

— W czwartek masz okienko po czwartej godzinie, czy jak?

— Mam — mówię.

Śmieje się cicho pod nosem. Jakbym mogła, tobym mu ten nos ukreśliła.

Podchodzi do drzwi, obraca klucz w zamku i ostrożnie wygląda na korytarz.

— Pusto — mówi półgłosem. — To na razie, Aniutek.

Zostaję w izbie pamięci sama. Spoglądam na sztandar szkoły, pochwa piecze mnie lekko. Wiedziałam, że tak będzie. Musiał mnie zatrzeć. Nic dziwnego, skoro tak się wbił we mnie — jak taran. Zawsze mnie tak bierze, niczym Jagiełło zamek toruński w 1410 roku — na chama. Dziś jednak był wyjątkowo gwałtowny, rzucił się na mnie od razu, gdy tu wszedł. Nie, Jagiełło, nie — decyduję. W tym przypadku bardziej właściwie byłoby porównanie z Łokietkiem, przynajmniej jeśli idzie o posturę. Tyle tylko, że Łokietek niczego nie zdobywał siłą, raczej knuciem. W pewnym sensie był wyrafinowany, a z pewnością inteligentny. Czego o Marku Kucharczyku powiedzieć nie można.

— Debil — mówię do siebie. — Nienawidzę go.

Ale oczywiście tak nie jest. Prawdopodobnie jestem zakochana, a z pewnością uzależniona. To pieczenie bardzo mi się podoba. Podsuwam sobie krzesło, wchodzę na nie i zwinęta

w rulon kartką zdejmuję pajęczynę z grotu chorągwi. Poprawiam rozpięty na gwoździach aksamit, przyglądając mu się krytycznie. Niedługo trzeba będzie oddać go do czyszczenia. Odstawiam krzesło, biorę torebkę i wychodzę na korytarz w chwili, gdy rozlega się dźwięk dzwonka na przerwę.

III

Idę powoli korytarzem, niosąc przed sobą plecak, którym zasłaniam płamę na spodniach. Czuję się trochę, jakbym był pijany. Nie rozumiem tego, co się stało, nie wiem, co myśleć. Ale w tym moim stanie jest coś jeszcze... Zastanawiam się nad tym i po chwili dochodzę do wniosku, że to szczęście. Przepelnia mnie po brzegi i wywołuje na twarzy ten głupi, bezmyślny uśmiech. Jeśli miałbym wybrać dla siebie jednego, jedyne go mężczyznę na całym świecie, nie byłby to ani Brad Pitt, ani Ashton Kutcher. Byłby to Marek Kucharczyk, nauczyciel wychowania fizycznego w liceum ogólnokształcącym imienia Jarosława Iwaszkiewicza w Warszawie. Niewysoki, tuż po trzydziestce, z krótkimi, kręconymi, ciemnymi włosami, z prostymi, grubymi brwiami niczym dwie kreski namalowane palcem ubrudzonym w sadzy. Krępy, napakowany, z błyszczącymi oczami i silnymi, owłosionymi rękami. Noszący granatowe spodnie od dresu lub dopasowane, krótkie, czerwone spodenki, podkreślające znaczną wypukłość w kroczu. Nieokrzesany, gruboskórny facet ze zbyt krótko przyciętymi paznokciami i tubalnym śmiechem. Z takim nie pogadasz, ale wcale nie o rozmowę przecież chodzi. Bo Kucharczyk ma w sobie coś takiego, że kiedy jest w pobliżu, jedyne, o czym myślę, jedyne, o czym marzę, to to, żeby go dotknąć, powąchać, polizać, wchłonąć w siebie. Podobają mi się różni faceci, różni wydają mi się interesujący, ale coś takiego odczuwam tylko przy nim. Właśnie dlatego unikam

wuefu — nie dlatego, że go nie lubię, choć fakt, że nie przepadam za dźwiękiem gwizdka, poceniem się w sali gimnastycznej czy bieganiem za piłką. Ale da się to wytrzymać. Unikam wuefu dlatego, że przy Kucharczyku nie jestem w stanie się kontrolować. Śledzę go wzrokiem, gapię się jak cieleń na malowane wrota, a mój kutas sterczy jak słup. Ktoś to w końcu zauważy. Któryś z chłopaków się zorientuje, wszyscy się dowiedzą, a wtedy... Wtedy to będzie koniec. Nikt nie może się dowiedzieć, nikt się nigdy nie dowie. Matka nie może się dowiedzieć. Poradzę sobie z tym, ukryję. Może kiedyś, gdy będę całkiem dorosły, całkiem niezależny, może wtedy... Ale teraz to by było dla mnie gorsze niż śmierć. Ojciec by mnie zabił! On nienawidzi pedałów, nie przeoczy żadnej okazji, żeby wałnąć jakiś durny dowcip albo przynajmniej złośliwy komentarz, gdy w telewizji pada słowo „gej”. Zresztą co tam ojciec, sam z siebie bym umarł. Nie spojrzałbym nikomu w twarz, boże, na samą myśl robi mi się gorąco. Ale umiem to ukryć, umiem udawać. Tyle tylko, że nie przy Kucharczyku.

Dlaczego to zrobił? Co miało znaczyć to: „teraz polubisz wuef”? Czy to znaczy, że będzie jeszcze, że dostanę więcej? Tak, na pewno tak będzie. Tak musi być! Widzę cię tu na następnych zajęciach — powiedział. Tak musi być. Mimo że spuściłem się zaledwie pół godziny temu, czuję, że mój fifol rośnie powoli w bokserkach. Przyciskam mocniej plecak do podbrzusza.

— No i gdzie leżesz? — pyta mnie Aśka, przyglądając mi się kpiąco spod ściany. — Historia jest. Na dole.

— Co? A, wiem...

— Ty, co jest? Wziąłeś coś?

Wzruszam ramionami, potrząsając niecierpliwie głową.

— Czego chciał? — pyta Aśka, odklejając się od ściany.

— Kto?

— No, kto? Kuchar! Opuściłeś godzinę wychowawczą przez niego.

— A, wiesz... — mamrocę. — Czepiał się o nieobecności.

— Mówiłam ci, żebyś uważał! Jakiś nieprzytomny jesteś. Aż tak cię wymęczył?

— Nawet nie masz pojęcia — mówię i uśmiechając się lekko pod nosem, ruszam za nią schodami w dół. Na korytarzu rozlega się dzwonek kończący przerwę.

IV

Cholera jasna, już dzwonek. Nawet herbaty człowiek nie zdąży wypić. Odnoszę szklankę do zlewu w kuchence obok pokoju nauczycielskiego i biorę dziennik Ic. Najgorsza klasa.

Schodzę na parter. Ile się człowiek musi nalatać po schodach w tej szkole, to tylko ja jedna wiem. Wchodzę do pracowni. Już siedzą w ławkach.

— Dzień dobry — mówię, kładąc dziennik na biurku.

— ...eńobry... — odpowiadają chórem.

Jakby owce becząły. Siadam na krześle, głupio się czuję bez tych majtek na tyłku. Gadają oczywiście. Dzwonek był, ja w klasie jestem, a te matoly gadają, esemesy wysyłają.

— Cisha! Nie gadać! Kępińska, schowaj to! Prosto usiądź! Chwaścikowski, widzę cię! Co ty myślisz, że nie widzę? Ja wszystko widzę! Schowaj tę komórkę. Ale już!

No, ucichli. Co by tu...

— Dobrze — mówię, otwierając dziennik. — Pytam się, proszę, jak było za komuny?

Pytanie proste, łatwe, szerokie — rzekłabym: temat wolny. W sam raz dla Wierczaka albo Smolinowskiego, żeby sobie średnią podnieśli. Szansa taka. Na początek, myślę, takie pytanie, to mi się las rąk podniesie. No, i kto się zgłasza?

Kto się zgłasza? Kapustnicka, a kto inny? Kto inny, jak nie Joanna Kapustnicka? Ta to się zawsze pierwsza zgłosi, wszystko robi, na głowie stanie, żeby pierwsza, żeby z przodu! Żeby nie wiem o co zapytała, Kapustnicka pierwsza! Perednica taka, krowa wiodąca stado, najcwańsza owca w stadzie. Idzie w lewo, reszta za nią, idzie w prawo — inni też skręcają. Wycacana, wygłaskana, bluzka biała, nóżki razem, włoski gładko, wyszorowana, wybielona taka cała, odplamiona, antystatyczna. Czasem to aż mnie ręka świerbi, żeby tak czymś, nie wiem, szmatą brudną, węglem, kurzem po niej przejechać. I zeszyty równo, równiutko leżą, same kąty proste w tej dziewczynie, wszystko równoległe. Patrzę, czy ktoś jeszcze się nie zgłosi, bo już dziś to jak nigdy nie mam ochoty jej słuchać. Normalnie to by jeszcze i Sieniawski się zgłosił, bo oni oboje zawsze razem, jedno za drugim, Romeo i Julia, ale dziś, o dziwo, siedzi jak trusia, oczy w okno wgapia cielece. Już bym wołała jego zapytać, ale jak na złość się nie zgłasza. Tylko Kapustnicka, ona tak. Muszę ją zapytać, no, muszę, bo co zrobię?

— Kapustnicka — mówię. — Proszę.

Ale mi to proszę prawie kolkiem w gardle staje. No, no, no... No, podnosi się, wstaje, mruga, patrzy.

— Jak było za komuny, Kapustnicka?

— Za komuny nie było mięsa, cukru oraz artykułów spożywczych i przemysłowych — deklamuje.

I tyle. Wazeliniaro jedna — myślę — potoś ty mi się zgłosiła, potoś tę rękę podniosła, żeby mi takie coś powiedzieć? Ale tchu nabieram i pytam:

— A co BYŁO za komuny, Kapustnicka?

Mruga, patrzy. Myśli. Usta oblizuje.

— Za komuny była bieda i szarżyzna, prześladowania oraz jarzmo niewoli.

I tyle. Zadowolona. Patrzę na nią, na tę gębę wykarmioną, wygłodzoną, i co mogę zrobić? Co mam zrobić? No, były. Były, i bieda, i prześladowania. I jarzmo było. Ale i prawie połowa mojego życia była. Życie było! Kultura, wysoka, a jakże, była. Osiągnięcia literackie, teatr. Podziemie było. Co ja mam zrobić? Mówić o tym wszystkim? Jak i kiedy? No, kiedy pytam się, skoro ja jeszcze mam na karku Katyń i Okrągły Stół z najnowszej, Cud nad Wisłą ze współczesnej, a z dawnej Jagiellonów? I tylko czterdzieści godzin z nimi na to wszystko do końca semestru! To co ja mogę zrobić? Mierny jej postawić? Sama się zgłosiła, dam jej mierny, to mi się w ogóle przestaną zgłaszać sami do odpowiedzi. Tłumaczyć? Kiedy? I po co właściwie? Po co, ja się pytam? Oni to w dupie mają. Podziemie, kulturę, sztukę, Solidarność. Pół wieku mają w dupie. Patrzę na nią i mówię:

— Szóstka, Kapustnicka, siadaj.

Bo sama mi się zgłosiła, niewywoływana. I jakby ma rację. Tyle tej racji, co brudu za paznokciem, ale jednak.

Pieczę mnie w środku jak nie wiem, nie ma mowy, żebym z nim do izby pamięci poszła w czwartek. Nigdy w życiu.

— Okrągły Stół — mówię, poprawiam się na krześle i zaczynam lekcję.

IV

— Rozmowy prowadzone w pierwszej połowie 1989 roku — recytuje Wekiera monotonna — przez przedstawicieli władz PRL, Kościoła oraz opozycji...

Spoglądam w okno i przestaję jej słuchać. To znaczy, słyszę ją oczywiście, ale słowa przepływają przeze mnie, opływają, pozabawione znaczenia, jednostajne i rytmiczne. Szare. Patrzę na budynki po drugiej stronie ulicy, baba myje okno, wychyla się ryzykownie przez parapet. Ma na sobie różowy sweter.

Dlaczego to zrobił? Czy to znaczy, że o mnie myśli, że mnie chce — tak samo jak ja jego? Od kiedy? Uczył mnie wuefu już w gimnazjum, zna mnie przecież od dawna. Od kiedy o mnie myśli?

Zaczynam rozpamiętywać każdą sekundę tego cudownie obezwładniającego wydarzenia w pokoju za salą gimnastyczną. Byłem w niebie. Marzę przez długą chwilę, ale nagle marszczę lekko brwi, bo... Dlaczego sterczałem tam jak kołek, dlaczego nic nie powiedziałem? Przecież mu stał, widziałem, łapał się za niego. Dlaczego nie padłem przed nim na kolana, nie ściągnąłem zębami tych czerwonych spodenek, nie dotknąłem go, nie wziąłem do... Dlaczego jestem takim debilem? Na pewno pomyślał, że jestem debilem, spuściłem się w spodnie, chociaż właściwie nic nie zrobił, nogą mnie tylko dotknął. Pewnie miał ze mnie niezłą polewkę. Dotknął mnie swoją śmierdzącą skarpetką, stopą mnie dotknął, a ja poleciałem w spodnie jak jakiś szczeniak! Szczęście i euforia, które przepełniały mnie jeszcze przed kilkoma minutami, rozpływają się i znikają. Robi mi się gorąco ze wstydu i żalu. Wszystko spieprzyłem. Miałem szansę, jedną na milion, i ją zmarnowałem. Czuję, że oczy wypełniają mi się łzami, biorę głęboki oddech i otwieram szeroko oczy, żeby się uspokoić. Kretyn, kretyn, kretyn...

— Ty — szepcze do mnie Aśka. — Dobrze się czujesz? Czego tak zipiesz?

Kiwam szybko głową, że tak, że nic mi nie jest. Muszę się uspokoić, muszę się... Mój kutas znowu staje, twardy jak beton, chce mi się płakać. Twarz mnie pali. Jestem beznadziejny. Teraz wiedziałbym, jak się zachować. Zaśmiałbym się, że niby to nic wielkiego dla mnie. Podszedłbym, objął go. Pocałował. Powiedziałbym: Marku. Teraz wiedziałbym, jak to rozegrać. Dlaczego jestem takim tępym, pozbawionym refleksu, beznadziejnym kretynem?

Nagle czuję, jak Aśka trąca mnie łokciem. Odrywam wzrok od okna i spoglądam błyskawicznie na Wekierę, która wpatruje się we mnie spod przymrużonych lekko powiek.

VI

Co on taki rumiany? Gorączkę ma? Przyglądam się chłopakowi, piecze mnie jak diabli, szlag by trafił tego kurdupla. Podrapałabym się, ale jak tu się tam podrapać przed tymi baranami? Poprawiam się na krześle i mówię ostrzejszym tonem:

— Sieniawski, słyszałeś, o co ja się pytam?

— Słucham, pani profesor? — odpowiada niepewnie, podnosząc się z krzesła.

On jednak jest tępy. Niby na oko wydaje się, że nie, ale jednak jest. Na oko całkiem fajny chłopak. Oceny ma dobre. Wyrośnięty, ładny, trzeba przyznać. Co prawda ten typ nigdy specjalnie mnie nie pociągał, ale ładny jest z tymi jasnymi, długimi włosami, z błękitnymi oczami i smukłymi palcami. Typ romantyczny, nawet już mu bokobrody rosną, bayronowskie. Tyle tylko, że jakiś taki miękki, jakiś taki delikatny. Nie słaby, ale taki jakiś... Ślimak bez skorupki. I za cwany. Tępy, ale cwany, tak samo jak i ta Kapustnicka, chociaż ona gorsza. Trzymają się razem, odkąd pamiętam, już w gimnazjum razem się prowadzali. Jedno i drugie się na mnie uwzięło, za głupią mnie mają, czy ja nie wiem? Wiem dobrze. Zawsze się trafi taki, w każdej klasie. Wyszczekany, na pozór grzeczny, trudno się przyczepić o cokolwiek, ale człowiek to czuje, po prostu wie, co tam w tych łbach siedzi. O, jak się patrzy teraz na mnie tymi błyszczącymi oczami. Jak krowa na księżyc. Rumieńce ma. Tego jeszcze brakuje, żeby się pochorował i pozarażał resztę.

— Dobrze się czujesz? — pytam na wszelki wypadek, bo jakby się czuł źle naprawdę, a ja bym udała, że nie widzę, to

by poszedł potem, powiedział, że nawet nie spytałam, że zlekceważyłam ucznia dolegliwość.

— Tak, pani profesor.

— Pytałam, co możesz powiedzieć o gułagach.

— O gułagach? — pyta bezmyślnie.

Stoi. Patrzy. Boże, jak on patrzy. To już chyba komar ma więcej rozumu w spojrzeniu.

— No, Sieniawski, powiedz ty mi, jak to w tych gułagach bywało?

Gapi się.

— Wiesz ty w ogóle, Sieniawski, co to gułag?

Oczy z wysiłku wytrzeszcza. Myśli. No i o czym on myśli? Co, czy ja nie wiem, o czym on myśli? No, o czym taki może myśleć jak on? Kombinuje tam w tym swoim mózdzku koali, jak by tu majtki z Kapustnickiej ściągnąć. Albo z Kępińskiej. Nie, z Kępińskiej to nie ma co kombinować nawet, spojrz taki raz, podejdzie, a już same spadną. Znam ja takie jak ta Kępińska. Oni zresztą wszyscy tylko o jednym myślą, jedno im w głowach. I wszyscy się bez przerwy onanizują, dziewczyny też, a kiedyś tak nie było. No, w sumie nie ma w tym nic złego, ale kiedy sobie człowiek uświadomi, że oni WSZYSCY się onanizują, wizja jest nieco przytłaczająca. Cholera, jak mnie piecze, łeb mu urwę. Jak nic coś mi tam zatarł. Kto to widział tak kobietę potraktować jak on mnie dzisiaj. Ledwo mi majtki zdjął, a już był w środku. Jego zdaniem gra wstępna to co najwyżej pewnie jakaś odmiana koszykówki. Co z tym Sieniawskim? Zawsze się pilnują oboje z Kapustnicką, szczególnie na początku roku, metodę taką mają, już w gimnazjum tak robili, szybko się połapałam. Na początku zgłaszają się bez przerwy, materiał mają opanowany, a jak już nabierają dobrych ocen, to sobie wolne robią. Wiadomo, że jak będą mieli kilka szóstek

czy piątek, to już czasu nie będzie, żeby ich pytać, człowiek ręką machnie i za innych się weźmie. No, dziś się nie udało. Chory, nie chory, pojęcia nie ma. Innemu może bym darowała, ale jemu na pewno nie. Uśmiecham się leciutko pod nosem.

— Sieniawski, ech, siadaj. Niedostateczny. Proszę, kto mi powie... — zaczynam i jeszcze zanim udaje mi się skończyć, to już kątem oka widzę rękę Kapustnickiej, która się w górę pnie niczym kobra z koszyka fakira...

Mało jej z barku nie wyskoczy, w życiu nie widziałam, żeby ktoś umiał rękę tak wysoko wyciągnąć. Wzdycham, myślę — trudno.

— Kapustnicka, gułag!

— Gułag, czyli Głównoje Uprawlenie Łagieriej, był to organ NKWD administrujący sowieckimi obozami koncentracyjnymi — klepie z szerokim uśmiechem, takim tonem, jakby mi dyktowała przepis na karpatkę.

Cisza. Wzdycham, dziennik otwieram i już mam powiedzieć: siadaj, sześć, nawet długopis biorę do ręki, ale przecież ona już dziś dostała szóstkę. Nie stawiam dwóch ocen z odpowiedzi na jednej lekcji, szczególnie szóstek.

— Dobrze. Siadaj, Kapustnicka — mówię i już mam ten dziennik zamknąć, gdy nagle patrzę uważniej, a tu czarne na białym stoi: Joanna Kapustnicka, a obok co? Trzy szóstki!

Trzy szóstki jak byk, rany boskie! I to ja sama te szóstki postawiłam, sobie na własną zgubę. Przypadek, powie ktoś — może. Ale ja patrzę na te trzy szóstki i myślę: to jest prawda o tobie, diablico jedna, cała prawda. Mamy dopiero początek października, a ta mała bzdziągwa ma już trzy szóstki! Szczęśliwie dzwonek słychać i zrywają się z ławek. Zapomniałam im zadać coś do domu, a chciałam, żeby mi napisali referaty z bronii średniowiecznej! Ale co tam. Czekam, aż wszyscy

wycwałują z sali, biorę dziennik i wychodzę na korytarz. I znowu w górę, do pokoju nauczycielskiego, szlag by to trafił. Ktoś pootwierał okna na dziedziniec, pęd powietrza podnosi moją spódnicę niebezpiecznie wysoko. Przyciskam ją szybko dziennikiem do podółka i maszeruję w stronę schodów.

VII

— No i ci pizdę postawiła — mówi Aśka. — Przecież wiesz, że trzeba na nią uważać. Jak mogłeś nie wiedzieć, co to jest gułag?

— Wiedziałem. Wyleciało mi z głowy.

— To trzeba było powiedzieć, że chory jesteś, skoro sama zapytała. Wiesz, ja czasami myślę, że cię przeceniam. Cała strategia mi się rozsypuje przez ciebie.

Wzruszam ramionami.

— Mam już z historii jedną piątkę. Nie ma tragedii.

— Wiesz, mam wrażenie, że ona dziś stringi założyła. Widziałeś? Jak stanęła przy tablicy w słońcu, ewidentnie dupa jej prześwitywała przez spódnicę. Wyobrażasz sobie? — pyta Aśka, wyjmując z plecaka papierosy. — Idziemy na anglika? Stolca nie ma. Podobno znowu ma zwolnienie i to aż do końca października, będzie zastępstwo.

Siedzimy w kiblu w suterenie — to rodzaj nieoficjalnej palarni. Jest na tyle oddalony od pokoju nauczycielskiego, że profesorom zwykle nie chce się robić tu nalotów podczas przerw. Zresztą w ogóle rzadko tu zaglądają — w podziemiu są tylko dwie używane sale lekcyjne, w pozostałych zrobiono jakieś składziki, którymi zarządza Władzio, nasz szkolny handyman.

— Z kim? — pytam, zaciągając się ostrożnie papierosem, bo palę od niedawna, no, właściwie to popalam, głównie w szkole.

— Nie wiem, pewnie z Bezą — wzrusza ramionami Aśka, wypuszczając chmurę dymu. — Na pewno nie z Wekierą, ona

nigdy nie bierze zastępstw. Chodź, pojedziemy do Galmoku. Mam kartę matki, kupimy sobie coś.

— Super — spoglądam na nią z mimowolnym uznaniem.

Gdybym ja podwędził kartę kredytową matce albo ojcu, krótki byłby mój żywot. No, ale starzy Aśki mają forsy jak lodu. Matka spędza czas głównie w gabinetach kosmetycznych i u fryzjera, pewnie nawet sama nie wie dokładnie, ile ma plastiku w portfelu.

— Dobra — mówię i przesuwam się trochę bliżej drzwi, bo do kibla wchodzi grupka Czarnych.

Czarni to Zajac, Księżna i Piołun, czasami przyprowadzają ze sobą kogoś jeszcze, ale nie wiem, jakie mają ksywki ci inni. Wszyscy są z trzeciej A, szkolna arystokracja, wzorzec metra. Mają po osiemnaście lat, a Piołun nawet dziewiętnaście, bo powtarzał rok w podstawówce, nie wiem dlaczego. Ubierają się najlepiej, często zmieniają styl, który natychmiast podchwytuje reszta szkoły — motywem przewodnim jest zawsze czern. Teraz na tapecie jest gotyk, głównie za sprawą *Czystej krwi* i *Zmierzchu*. Czarne, dopasowane spodnie i marynarki, kamizelki, białe koszule z postawionymi kołnierzami u chłopaków i czarne koronki u Księżnej. Czarni mają sporo kasy, a przynajmniej takie wrażenie sprawiają — zarówno Księżna, jak i Piołun mają swoje samochody, które parkują tuż przed szkołą. Księżna szarego mini morrisa, a Piołun starego, białego mustanga. Dyktują reguły szkolnego życia, ale nic na siłę — nie słyszałem, żeby dali komuś w zęby czy specjalnie się nad kimś pastwili, ale na przykład tą kiblopalarnią rządzą. Bez ich zgody nikt nie ma tu wstępu, a już szczególnie żaden z kotów. Jednak Aşkę tolerują, odpowiadają na jej cześć, a nawet zamieniają z nią jedno czy dwa słowa od czasu do czasu. Dzięki Aśce i ja mam wstęp do klopa, choć oczywiście nie pełnoprawny, bo i ona nie korzysta tu z pełni przywilejów.